

2292 2552/1978/19

W NUMERZE: CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE „ŹRÓDŁA“

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

Exemplarz obrotowy
BIBLIOTEKA
LUBLIN

LUBLIN 17 IX 1978 NR 19 (661)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

70-lecie urodzin Pawła Dąbka



Paweł Dąbek nie jest kimś, o kim naszego czytelnika trzeba informować. Działacz lewicowy przed wojną, dowódca Lubelskiego Okręgu Gwardii Ludowej i więzień Maidanka za okupacji, przewodniczący PWRN po wyzwoleniu zapisał się w świadomości każdego z nas.

I nie tylko w świadomości. W sercach również. Paweł Dąbek oprócz energii i wiedzy potrzebnych działaczowi społecznemu posiada talent wyrażający się w tym, że w Jego postawie nie czuje się sztucznej oficjalności czy chłodu. Po rozmowie z Nim odchodzi się z uczuciem życzliwości otrzymanej w Jego uśmiechu, wejrzeniu, głosie.

21 września br. Paweł Dąbek kończy 70 lat. 70 lat pracy, wytrwałości, cennych inicjatyw. Do wielu życzeń, jakie w tym dniu napłyną pod adresem Czełgodnego i Drogiego Jubilatą, dołączamy nasze: „Ad multos annos” dla dobra województwa, dla dalszych pomyślnych działań Zasłużonego Syna Lubelszczyzny.

NIEWIDZIALNA SIŁA

Aleksander Rozenfeld

POZNY, zimowy wieczór. W trzystutysięcznym mieście nagle gaśnie światło. Zatrzymują się trolejbusy, w windach, które stanęły, daremnie szamocą się ludzie uwięzieni między piętrami. Po pewnym czasie zabrakło wody. Na ostrych dyżurach chirurgicznych, na stołach operacyjnych oczekują pokrojeni pacjenci na dokończenie zabiegu. Rozlegają się alarmujące wycia karettek pogotowia i strazy pożarnej. Nad ciemnym miastem zawisła apokalipsa bezruchu.

Oczywiście nie grozi nam to, co powyżej opisałem, choć nie tak dawno w Nowym Jorku i Memphis w USA to się zdarzyło. A jest ten kraj, jeśli ludzie o energetykę, potęgą niezaprzeczalną.

Energetyka — przemysł, przemysłów, krwiobieg gospodarki narodowej, skomplikowany system połączeń sieci, pozornie zamkniętej, gdy jej się przyrzuć z bliska — otwartej nie tylko na kraj, ale na cały system gospodarczy krajów RWPG. Trudno sobie wyobrazić, ile daje ta niewidzialna ludzkim okiem siła. Zapala światło nie tylko w naszych domach, uruchamia maszyny rolnicze w obejściu gospodarstwie, porusza obrabiarki, rozpala piece hutnicze, powoduje ludzką pracę, pomaga oszczędzać siły człowieka, kieruje te siły dla tworzenia innych, piękniejszych wartości. Skutki jej działania trudno przecenić. Stąd też nie okazyjny, spowodowany świętem polskiej energetyki układ w kierunku ludzi w niej zatrudnionych, ale konieczność pewnej refleksji staje się powodem niniejszych słów.

W elektrowni Kozienice, w centralnych sterowniach bloków siedzą ludzie pozornie beczynni. Poczernie. Bo w każdej chwili trzeba być czujnym. A nuż przeraźliwy dźwięk dzwonka zasygnalizuje awarię, i ta czujność wymaga żelaznego systemu nerwów, wiedzy zawodowej i doświadczenia. Elektrownia, gdy się jej przyrzuć z bliska, wygląda jak miejsce, gdzie w ogóle nie ma ludzi, a przecież Kozienice zatrudniają ponad dwa tysiące osób. Są to wykwalifikowani inżynierowie i technicy, służby

remontowe i eksploatacji. Muszą być gotowi w każdej chwili do działania, pozorny spokój wprowadza w błąd. Kozienice są elektrownią nowoczesną, pracującą na węglu kamiennym, dowożonym ze Śląska.

Gdy spojrzeć wstecz, z czym energetyka startowała u narodzin Polski Ludowej, wierzyć się nie chce, że zrobiono tak wiele. A przecież od niedawna dopięto problem energii znajduje u nas w kraju właściwy oddźwięk i zrozumienie społeczne. Gdy byli w cieniu, pracowali tak samo jak dzisiaj. A więc można wyciągnąć wniosek, iż ludzie zatrudnieni w polskiej energetyce nie oczekują pokiaśku i telewizyjnych kamer.

W 1945 roku energetyka startowała z pozycji całkowitego niemal zniszczenia potencjału wytwórczego i sieci przemysłowych. Na Śląsku zaczęto najpierw. Aby mogły ruszyć kopalnie i huty, aby inne gałęzie gospodarki mogły pracować, niezbędna była szybko odbudowana sieć energetyki przemysłowej.

W 1952 roku rozpoczęto budowę Jaworzna II, największej inwestycji energetycznej planu sześcioletniego. Pięć bloków o mocy 50 megawatów każdy na całkowitej dokumentacji radzieckiej. Była to elektrownia ucieleśnieniem marzeń inżynierów i techników elektryków, którzy w 1943 roku w okupowanej Warszawie zebrał się, aby opracować plan rozwoju polskiej energetyki w wyzwolonej Polsce. Był to, jak mówi dzisiaj wiceminister energetyki i energii atomowej mgr inż. Bolesław Bartoszek, plan niezwykle śmiały, ale nie przewidywał, że i potrzeby będą o wiele większe i że powstanie wspólna skoordynowana sieć energetyczna krajów RWPG. Produkujemy dzisiaj 115 mld kWh rocznie, a w roku 1990 musimy wyprodukować dwa razy tyle.

Dokończenie na str. 12

Człowiek o sumieniu skrupulatnym

Maciej Podgórski

Redakcja nasza otrzymała w sierpniu telegram: „Dziewiętnastego przyjechałem karetką. Złożyłem głodówkę protestacyjną. Oficera dyżurnego MO prosiłem o kontakt z prokuratorem. Proponuję telefonicznie. Oddział gruźliczy Hrubieszów. Widzę material”. Podpisał Roman W., autor publikowanych ongiś w „Kamieniu” opowiadań.

22 sierpnia znalazłem się w Hrubieszowie, rozpoczynając od rozmowy z ordynatorem oddziału gruźliczego w obecności dyrektora szpitala. Oto relacja lekarzy.

ROMAN W. przyjechał skierowany ze szpitala w Zamściu, gdzie nie ma oddziału gruźliczego. W skierowaniu było rozpoznanie — krwiotwórczość. Pacjent przybył w sobotę po południu, skierowany z sanitariuszami, którzy go transportowali. Stan ogólny pacjenta — dobry, krwiotwórczość nie stwierdzono, a przecież tego rodzaju objaw nie może nagle ustąpić. Zaordynowano lekt. Których Roman W. nie chciał przyjmować, żądając wyjaśnienia ich działania. W niedzielę złożył głodówkę od rana, nie wiadomo przeciwko czemu. Teżoż dnia milicja przydybała go za bramą szpitala w piżamie i przyprowadziła na oddział. Domagał się tomografii, czyli warstwowych zdjęć płuc. To jest pacjent trudny. Przy krwiotwórczości powinna właściwie leżeć, a chodzi. Ma pretensje, że jakaś na śniadanie są zbyt rozmazane. Trząsnął kubkiem o podłogę. Czynnej gruźlicy u

Dokończenie na str. 6

CHELM '80



Fotografował Piotr Maciuk

Człowiek o sumieniu skrupulatnym

Dokończenie ze str. 1

niego nie stwierdzono, tylko stare zmiany w płucach. Może być wypisany ze szpitala, ale czekają go wprawdzie badania psychiatryczne.

Psychiatra wypowiedział się o Romanie W. 23 sierpnia: „Wyraźne cechy psychopatyczne osobowości. Reakcje dysforyczne. Nastrój nieco podwyższony. Wskazana obserwacja w klinice psychiatrycznej. Pacjent nie wyraża zgody”. I pacjent został wypisany, ale wprawdzie z nim rozmawiałem, jeszcze przed badaniem psychiatrycznym.

Roman W. jest blisko czterdzielotnym mężczyzną. Szczupły, smagły, nerwowy, w rozmowie niezbyt skoordynowany, przeskakując wydarzenia, nawraca, powtarza co chwilę: „rozumie pan”. Ze stroju szpitalnego ma na sobie jedynie spodnie od piżamy, buty i koszula — własne.

Nerwowy, o cechach psychopatycznych osobowości jest w naszych czasach niemal co drugi człowiek, więc godzi się relację Romana W. traktować całkiem serio.

19 sierpnia, sobota. Przebywał w Zamościu u rodziców. Rano złapało go intensywne krwioplucie. Jest starym pacjentem gruźliczym, cztery razy był w sanatoriach i musi na siebie uważać, toteż zgłosił się do zamojskiego szpitala, skąd skierowany został do Hrubieszowa. Czekał kilka godzin na karetkę, która go miała odtransportować. Był zdenerwowany, a sanitariusze niekulturalni, pokłócił się z nimi po drodze. Oni jemu dogadywali, on im.

W szpitalu hrubieszowskim siostra pyta głośno na cały korytarz: „Pan ma krwotok czy krwioplucie?”, i to przy sanitariuszach, z którymi był skłócony. Poszedł szum po oddziale. „Jak z Zamościa przyjechał, to z dziurami w płucach” — komentowali pacjenci. Można człowieka psychicznie wykończyć w ten sposób, a tu jeszcze ordynator wypytuje, ile mililitrów tego krwioplucia, szklanka, pół szklanki? Na Romanie W. takie rzeczy już nie robią wrażenia, ale jeśli w ten sposób się przyjmuje innych chorych, mniej doświadczonych...

Położyli go w dwuosobowej sali z 82-letnim starcem, którego łóżko zagnojone i który pluł do basenu, bo nie było odrębnego naczynia. Roman W.

prosił siostrę, żeby zmieniła pościel staremu człowiekowi. „Pan tu nie będzie rządził” — odpowiedziała. Interweniował u salowej w sprawie spluwaczki. „Dziadek to jest franca” — stwierdziła. A przecież dziadek jest człowiekiem i ma swoje nazwisko.

Romanowi W. zaaplikowano leki, których początkowo faktycznie przyjmować nie chciał, albowiem wie, że z lekami bywa rozmaicie, a w końcu każdy pacjent ma prawo wiedzieć, jakie mu się leki ordynuje i po co. (Ordynator stwierdził potem w rozmowie ze mną, iż pacjent posiada takowe prawo).

Otrzymał kapcie zdezelowane całkiem i on je sobie zarekwirował, żeby mieć dowód rzeczowy. (Wyciąga z teczki kapcie, które są straszne. Fakt niewątpliwy). Podejrzewa, iż te kapcie były już trzy razy kasowane i powstaje problem gdzie pieniądze za to? (Pytałem później ordynatora, czy mają kłopoty z kupnem kapci dla pacjentów. „Skarg nie było dotąd na kapcie, ale pan nie widział kapci, w jakich ja sam chodzę, też zdezelowane, numeru nie można nabyć odpowiedniego, a mam dziewiątkę”).

Otrzymał Roman W. kubek i sztućce, brudne i poobijane, on je sobie zarekwirował i tak dalej. (Wyciąga z teczki przedmioty, brudne i poobijane. Fakt niewątpliwy. Ordynator twierdzi, że na kubku metalowym może po pewnym czasie wytworzyć się osad niezwykły, ale to nie jest brud. Pewno, że z takiego kubka nie pija się zbyt przyjemnie.)

Roman W. po kilkugodzinnym pobycie w tym szpitalu zobaczył drastyczne oszczędności. Rozlażą się chorzy piżamy i siostry każą im za to płacić, a przecież porządna piżama szpitalna powinna mieć wybitą datę kupna, żeby było wiadomo, jak długo jest w użyciu, bo może te piżamy już się kwalifikują do kasacji. Pacjenci, jeśli zbiją termometr, płacą po 20 złotych, ale nikt pokwitowań nie wystawia. (Ordynator — są braki piżam; nie wie, jaka miałaby być żywotność szpitalnej piżamy; jest zwyczaj, że za złote termometry nie wystawia się pokwitowań, w każdym szpitalu zresztą.)

Roman W. zgłaszał swoje wątpliwości lekarzowi dyżurnemu, młodemu człowiekowi, który mu nawymyślał od filozofów i zagroził przeniesieniem z miejsca na miejsce, co mogło być zrozumiane jako przeniesienie do szpitala psychiatrycznego. Wtedy Roman W. wziął w gazetę swoje ciuszki (sobota, więc nie zdążyło ich schować do de-

pozytu), przebrał się i wyszedł za bramę szpitalną. Wsiadł w taksówkę i około 20-ej był już u oficera dyżurnego MO, żeby sobie na poniedziałek umówić kontakt z prokuratorem w sprawie porządków szpitalnych. Milicja spisała protokół.

Roman W. wrócił do szpitala, założył spodnie od piżamy i siedzi w sali z dziadkiem. Patrzy, a u dziadka chleb ze smalcem leży na ceracie, nie na talerzu, bo talerza brak. Wówczas Roman W. poprosił siostrę na dwa zdania i oświadczył, że zakłada głodówkę, a dlaczego to powie ordynatorowi. Siostra rozgłosiła ten fakt pośród pacjentów w sali telewizyjnej, personel szpitala się śmiał.

Głodówkę Roman W. zaczął następnego dnia a była ona skierowana głównie przeciwko sytuacji, w jakiej znajdował się dziadek.

20 sierpnia, niedziela. Głodówka. Personel szpitala nie reaguje. Roman W. wychodzi do portierni, żeby zdzwonić po lekarza dyżurnego czy ordynatora. Jest godzina 20.30, koło portierni przejeżdża radiowóz MO, Roman W. zwraca się o pomoc do milicjantów w sprawie kontaktu z lekarzem, co mu zostaje umożliwione, skargi wysłuchane.

21 sierpnia, poniedziałek. W każdym razie u dziadka sytuacja się zmieniła, jest czysta pościel, talerze, aczkolwiek pod czystą pościelą nadal gnój. (Ordynator: — dziadek to pacjent miążdźcowy, nie wie, co robi; trudno, mu zmieniać pościel kilka razy dziennie i brak przepisów na to). Roman W. dzwoni do prokuratury. Jakaś paniienka odbiera telefon, słucha chwilę i powiada: „Proszę wziąć papier i pisać, a pisać pan umie?”. I trzaska słuchawką o widelki. Roman W. wysłał telegram do naszej redakcji. Następnie, chodząc wokół budynku oddziału (Ordynator: „Powinien leżeć, ale nie chciałmy zadrażniać sytuacji”), zbiera sobie kwiatki polne, które ustawia w słoju na stoliku nocnym obok łóżka. Siostra mu te kwiatki brzyg do kosza! „Nie będzie pan chwastów trzymał!”

Roman W. nie pracuje na stałe. Od czterech lat nie pracuje etatowo, tylko dorywczo, prywatnie, na przykład przy myciu silników samochodowych. Zameldowany jest w Krakowie, ale ostatnio przebywa u rodziców w Zamościu, gdzie jesienią ubiegłego roku zgłosił się na spółdzielczy kurs ogrodniczy. „Matula ma 23 arów, chciałem uprawiać warzywa, stanąć na nogi, a potem kupić parcelę pod Krakowem, tanią, którą mam upatrzoną...”

Kiedy zbliżał się koniec kursu ogrodniczego, uczestnicy zbierali pieniądze na prezenty i poczęstunek dla wykładowców i egzaminatorów. Zanosilo się po około 1000 złotych od kursanta. „Komisja się spiesi i żadnego egzaminu nie będzie” — mówiono. Roman W. odmówił płacenia i zgłosił telefonicznie wątpliwość w zamojskiej prokuraturze. „Proszę pana oni nie będą pili rano, tylko wieczorem” — odpowiedziała jakaś pani z prokuratury. Ze niby nie służbowo, ile prywatnie będą chłali.

Ostatecznie okazało się, że składka będzie mniejsza, kilkaset złotych. Roman W. nie chciał zapłacić bo mu się ten proceder wydał niemoralny, choć reszta uczestników kursu mówiła: „Musimy jakoś uczcić trud wykładowców i egzaminatorów”. Zaproponował, iż przekaże składkę na Centrum Zdrowia Dziecka. Poszedł na egzamin z podaniem o zdawanie na innym terenie. Polecono mu złożyć to pismo w wydziale rolnictwa, co też i uczynił 20 IV br. Dotąd czeka na odpowiedź.

Po wyjściu ze szpitala Roman W. pochodził sobie trochę po Hrubieszowie w oczekiwaniu na autobus do Zamościa. Zobaczył cerkiew piękną w centrum miasta. Niszczyjąca. Rozmawiał z duchownym prawosławnym i jego żoną, co by tu zrobić, żeby zabytek nie marnował się. Potem Roman W. dzwonił do mnie wieczorem, już z Zamościa, w sprawie tej cerkwi — może bym wziął jakiegoś fotoreportera, obfotografował obiekt, opisał bo to jest temat. Faktycznie to jest temat...

Kiedyś rozmawiali w szpitalu hrubieszowskim. Roman W. stwierdził, że personel szpitalny nie rozumie prostego faktu. Ze nie wolno leczyć tylko konkretnej jednostki chorobowej, ale trzeba brać pod uwagę całą osobowość pacjenta. Jego psychikę i samopoczucie także. Bo inaczej wykazuje się brak szacunku dla człowieka.

Roman W. określił siebie jako zupełnie zagubionego w życiu. Ja go określiam jako człowieka wrażliwego, którego drażni każda najmniejsza niesprawiedliwość i każdy, nawet nieduży, bałagan w świecie. Roman W. chce wyegzekwować krystaliczny porządek, sprawiedliwość i uczciwość w życiu. Tylko czy taki porządek, uczciwość i sprawiedliwość w ogóle mogą istnieć?

W każdym razie uważam, że Roman W. powinien zostać dziennikarzem. Jest to bowiem zawód jak rzadko który pre-dysponowany do naprawiania świata.

Maciej Podgóski

ZRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE • WRZESIEŃ 1978

V LUBELSKA BIESIADA LITERACKA

LUBELSKIE Biesiady Literackie organizowane pod patronatem ZW ZSMP zyskują sobie coraz większą rangę w życiu kulturalnym Lubelszczyzny. Piąta z kolei odbyła się w Piotrowicach k. Lublina w Domu Kultury Państwowego Ośrodka Maszynowego, w dniach 26—28 czerwca br. W tej największej ostatnio imprezie literackiej województwa uczestniczyło 50 młodych twórców, głównie z Lubelszczyzny.

Wcześniej jednak uczestnicy Biesiady zebraли się w Dworcu Grafa w Lublinie, gdzie nastąpiła oficjalna uroczystość otwarcia Młodzieżowego Centrum Twórczego. Jest to także efekt inicjatywy ZW ZSMP, który patronując młodym twórcom zrzeszonym w Klubie Młodych Pisarzy — w porozumieniu z WSS „Spolem” — udostępnił środowisku młodoliterackiemu Lublina pomieszczenia Domu Kultury WSS na systematyczne spotkania autorskie, warsztatowe oraz innego rodzaju działalności twórczej. Uroczystości otwarcia dokonał przewodniczący ZW ZSMP Jan Zawisłak, a na sali oprócz licznie zgromadzonych młodych twórców można było zobaczyć: prezesa lubelskiego oddziału ZLP, redaktora naczelnego „Kameny”, przewodniczącego Rady Krajowej KMP Krzysztofa Zuchorę, redaktora wydawnictwa „Iskry” Aleksandra Nawrockiego, redaktora Polskiego Radia Jacka Ileniaszkiewicza oraz znanych poetów Romana Sliwonika i Tadeusza Mocarskiego. Pojawili się także cianie młodzi poeci lubelscy: Aleksander Rozenfeld, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Zbigniew W. Fronczek. Jak meteor przez salę przeszedł... i zniknął Dominik Opolski.

Po uroczystości otwarcia na temat sytuacji w młodej literaturze mówił Tadeusz Mocarski proponując integrację wszelkich ugrupowań młodoliterackich.

V Lubelska Biesiada Literacka w Piotrowicach rozpoczęła się spotkaniem z dyrektorem POM tow. Tadeuszem Betuikiem. Okazało się, że dyrektor zarówno dobrze zna się na literaturze jak i młodzi twórcy na maszynach rolniczych, czy obrabiarkach.

Drugiego dnia Biesiady rozpoczął się zwiedzaniem POM w Piotrowicach, zapoznaniem ze specyfiką pracy na stanowisku roboczym i asortymentem wykonywanej produkcji. Po czym, już na sali obrad, o aktualnych problemach związanych z młodoliterackim ruchem w kraju mówił Krzysztof Zuchora. Z kolei przewodniczący Kola Młodych Bogusław Wróblewski przedstawił dorobek środowiska lubelskiego z okresu między poprzednią Biesiadą w Gardzienicach a obecną. Fakt wydania w tym cza-

sie 14 książek przez lubelskich młodych twórców, zdobywanie licznych nagród na ogólnopolskich konkursach literackich, wydawanie „Zródeł”, prezentacje na łamach czasopism centralnych oraz wiele innych inicjatyw, awansuje środowisko do grona najaktywniejszych w kraju. Zdanem Wróblewskiego ostatnie sukcesy powinny jeszcze zdołać młodych do dalszych inicjatyw, zwłaszcza wydawniczych oraz do pracy nad usunięciem braków (zbyt małe zainteresowanie piszących krytyką literacką, prozą, przekładami). Konieczna przy tym jest jednak dalsza życzliwość i pomoc władz, instytucji i organizacji młodzieżowych.

Ponadto przed południem odbyły się jeszcze spotkania z Romanem Sliwonikiem i Aleksandrem Nawrockim.

Po obiedzie nastąpiło uroczyste ogłoszenie wyników rozstrzygniętego konkursu literackiego „Lubelszczyzna — Człowiek — Praca — Twórczość” oraz wręczenie nagród. Werdykt odczytał przewodniczący jury Henryk Pająk, który jednocześnie omówił prace konkursowe (patrz: „Kurier Lubelski” z dnia 15—16 lipca br.). Następnie odbyło się spotkanie z z-cą dyr. Wydawnictwa Lubelskiego Ludwikiem Zabielskim, red. Markiem Adamem Jaworskim oraz prezesem Henrykiem Pająkiem. MAJ uczestniczył także w spotkaniu warsztatowym, które prowadził Tadeusz Mocarski wspólnie z Romanem Sliwonikiem. Trwało ono niemal do... następnego dnia Biesiady. Prawie każdy z młodych poetów wyciągnął wnioski z dyskusji na temat przeczytanego przez siebie wiersza.

W ostatnim dniu Biesiady nastąpiło spotkanie z władzami politycznymi i kulturalnymi woj. lubelskiego. I tutaj sypały się uwagi i propozycje uczestników Biesiady pod adresem szefów Wydawnictwa Lubelskiego, WDK, ZSMP i SZSP. W odpowiedzi dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Mieczysław Białas stwierdził, że twórczość młodych oraz ich inicjatywy zmierzające do rozwoju kulturalnego regionu i kraju będą popierane z nie mniejszą niż dotychczas energią. I chyba te słowa dyr. Białasa można uznać za podsumowanie toczących się dyskusji o roli i zadaniach młodej literatury oraz zasadach mecenatu.

Na zakończenie Biesiady odbył się tradycyjny Turniej Jednego Wiersza, który bezapelacyjnie wygrał Tadeusz Kwiatkowski-Cugow.

Pracowicie spędzone dni w Piotrowicach, życzliwość gospodarzy i urok okolic zachęcają do ponownego odwiedzenia — może za rok?

Stanisław Żurek

Leonard Górski

SAINT - JOHN PERSE

Smukłe są wysokie okręty
w ciepłym piasku po maszy
a ich żagle jak chusty starych marynarzy
wyblakłe i smutne
Na burtach kółka milczące
przypatrują się sobie
pamiętają czas ostatnich skorupiaków
wysuszonych słońcem
(wierzyły że ostatni
schodzi pierwszy
po Bogu) zapłaciły
oliwą tkanek
w jednych kiedyś zaplątany linach
głos ochrypl od wiatru
który śpiewa:

Na dnie
w czasce
w mule
kraby z namaszczaniem
łazą

Najpiękniejszym cmentarzem dla białych
kości
jest gorący piasek

Smukłe są wraki
zmrzałe Najpiękniejszym cmentarzem
jest
ciszy akwariom



Ilustr. W. Dras

* * *

Smukły jest zachwyt tłumy
kiedy okrzyk wznosi półdziki
nad gesty błazna
w wieńcu laurowym
gdy tańczą fauny u szczytu
i wiatr rozgarniają gesty
po zboczach lasów zielonych

Biały jest obłok iskier
nad głową błazna
który swą głowę stracił
i nowe szaty ubrać zamierza
gdy ginie w ciemnych okrzykach
śpiew czysty ptaków zmierzonych
gestem zbyt śmiałym

Hez to razy grajka dostrajano
do instrumentu.

Dominik Opolski

1.



Kamena str. 7

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

OJCIEC

DAREK Wygodzki był razem ze mną w Domu Dziecka. Wojna rozdzieliła go z rodziną. Tak jak ja był tu przywieziony przez obcych ludzi. Wychowawcy wypełniali ankiety chłopców i pytali o ich ojców. Wszyscy mieli ojców zwykłych, porzuczonych po świecie żołnierzy i dlatego, że nie znali ich stopni, pisano: żołnierz. Kiedy zapytałem Darka, kim jest jego ojciec, odpowiedział, że dowódcą międzynarodowej brygady partyzanckiej walczącej z faszystami w Jugosławii. Wieczorami ten wrażliwy, obdarzony niepospolitą wyobraźnią chłopiec, znający doskonale geografię kraju, w którym walczył jego ojciec, opowiadał kolegom o ciężkich walkach, jakie toczą się w górach Jugosławii.

Opowiadał o walkach pod Sarajewem, o zajęciu przez brygadę majora Wygodzkiego miejscowości Mostar. Z kawałków kamieni ustawiał na kocu całe partyzanckie bataliony i tłumaczył chłopcom zasady partyzanckiej strategii, oczywiście w rozumieniu dziecka. We wszystkich tych starciach najwięcej zwycięstw odnosiła brygada pod dowództwem Darkowego ojca. Kamuszeki, które oznaczały mniejsze od-

działy, sunęły mężnie naprzód zostawiając po drodze pokonanego nieprzyjaciela. Mały kamuszek — zabity Niemiec, duży —



Ilustr. W. Dras

zniszczony czołg. Zaden inny chłopiec nie miał tak walczącego ojca, dlatego ambicją chłopców było zostać przyjacielami Darka i każdy się za takiego u-

ważał. Niektórzy tak uparcie zabiegali o jego przyjaźń, że nawet oddawali mu swój deser. Chłopiec był najważniejszym spośród rówieśników, bo miał pod poduszką prawdziwy oficerski pas, który dostał na urodziny od ojca. Dotykali go jak relikwii i każdy chciał choć na chwilę go założyć. Wkrótce wojna się skończyła. Któregoś dnia do naszego Domu Dziecka przyszedł wysoki szczupły mężczyzna w wojskowym płaszczu. Miał na ramionach naszywki kaprała i zmęczony uśmiech. Długo przyglądał się chłopcom, wreszcie rozpoznał syna. Padł sobie w ramiona. Następnego dnia wyjeżdżał. Darek w tajemnicy przed ojcem powiedział chłopcom, że ojca szukają szpiegowie niemieccy i musi się ukrywać pod mundurem zwykłego kaprała. W każdym razie jako bohater narodowy będzie brał udział w defiladzie Zwycięstwa w Warszawie. Skończyły się opowiadania o partyzantce. Szczupły mężczyzna wziął dziecko za rękę. Przytrzymał go za nim długo, jak się zlewają z kurzem drogi, na której któregoś dnia pojawią się nasi ojcowie, cały batalion bohaterów, może nawet większych niż ojciec Darka.

PUSTY ORZECH DO ZGRYZIENIA

Waldemar Chudyba-Żelazny*

KIEDY w 51 numerze „Życia Literackiego” z 1955 roku kilkanaście wierszy podpisano następującymi nazwiskami: Zbigniew Herbert, Jerzy Harasymowicz, Bohdan Drozdowski, Miron Białoszewski, Stanisław Czycz, a jeszcze wcześniej bo 1954 roku w tym samym piśmie po raz pierwszy drukował Andrzej Bursa, krytyka uderzyła w dzwony. Drżał nie tylko Kraków, gdzie Wyka prowadził zażarte dyskusje z Kwiatkowskim o to czy Harasymowicz ma być nowym Gałczyńskim (Kwiatkowski) czy nowym Mickiewiczem (Wyka). Z otwartymi ramionami przyjęto zarówno „pryszczatych” jak i „ogolonych” (myślę o Drozdowskim, Herbertcie i wczesnym Harasymowiczu). Z błogosławieństwem niemal oczekiwano młodych (między innymi po to, aby uprawomocnić ogromną falę prorocztwa o nadejściu rzekomo nowego i „czystego” pokolenia). Modą stało się więc ze strony krytyki poszukiwanie swoich wielkich i namaszczenie ich, chociażby na wyrost. Nie więc dziwnego, że nikt przez dłuższy czas nie przyznawał się (oprócz czytelnika) ani do Małgorzaty Hillar, ani do Haliny Poświatowskiej, chociaż tomy obu tych poetek znikły z półek księgarskich w przeciągu kilku miesięcy. Krytyka szukała poetów, czytelnik szukał poezji, więc trzeba było dopiero kilku nekrologowych wzmianek w prasie, by z należytą powagą odczytać „hymn bałwochwalczy”. Trzeba było aż dwu operacji serca (Poświatowska była chora już od jedenastego roku życia) i wreszcie śmierci autorki, by uwierzyć w prawdziwość i spontaniczność erotyki debiutanckiego tomu. „Hymn bałwochwalczy” przestał być wreszcie „żałosnym liścikiem skrzywdzonej dziewczuszki”, którą odsyłano albo do Różewicza albo do Młodej Polski, głos pokolenia — wyłączną własnością tych, którzy głośno krzyczą, a poezja — instytucją, gdzie zasiadają WYKA — pani wieszczowie. Trzeba mieć także sobie coś do powiedzenia, przekazania — apelowała autorka hymnu i pierwsza kobieta polskiej poezji. Wierzę Poświatowskiej i rozumiem, że przez dziesięć lat wahała się z opublikowaniem następującego tekstu:

Halina Poświatowska to jest podobno człowiek i podobno ma umrzeć jak wielu przed nią ludzi

Halina Poświatowska właśnie teraz się wzdzi nad swoim umieraniem ona jeszcze nie wierzy ale już podejrzewa i kiedy w sen zagłębia lewą rękę to w prawej zaleśka moeno gwiazdę — strzępek żywego nieba i światłem poprzez ciemność krwi

Człowiek powinien sobie zdawać sprawę ze śmierci, ale powinien się przed nią („drugą ręką”) bronić, ocalić poprzez miłość i poezję, przetrwać, a poprzez wiersze wyjść poza śmierć, przeżyć śmierć. Trzeba funkcjonować w poezji i w miłości, a nie kosztować i smakować, trzeba wreszcie doznawać, a nie analizować i opanowywać. W 1958 roku — a więc już po dramatycznej operacji — debiut Haliny Poświatowskiej uznano za najlepszą propozycję książkową ostatnich kilku lat. Miano jednej z najlepszych (NAJ — według Stowarzyszenia Księgarzy Polskich) zyskał również debiutancki „Gliniany dzbanek”, Małgorzaty Hillar, którą odsyłano uprzednio do Desy lub Cepelii. Mało kto bowiem zwracał uwagę na wysoką kulturę erotyczną w poezji Hillar, skoro w tym samym czasie Stanisław Grochowiak „zalatwiał” problem miłości sześcioma deskami (xxx dla zakochanych). Nieśmiało „ja” ginęło w chóralnym „my” „Współczesności”. Kiedy więc panowie spod znaku „ryby”, „ptaka” i „kamienia”, z wielkim bagażem teorii spotkali to „brzydkie kaczątko, które marzy o wspaniałych piórach”, pokora wobec poezji i miłości okazała się jedynym, aczkolwiek wystarczającym atutem:

(.....)
Kiedy byłam dzieckiem
pisałam wiersze na strychu
żeby się nie śmieli
(.....)

Dzisiaj jak wtedy
pragnę rak które głaszczą
słów ciepłych i miękkich
jak owoce wina

Mnogość poetyk oraz wzrost zainteresowania debiutantami, stosunkowo duże nakłady poezji i autorytet społeczny twórcy — wszystkie te cechy sprawiły, iż lata następne (60-te) przyniosły ogromną eksplozję liryczną. Jak podaje Michał Sprusiński w 1965 roku na konkurs „Czerwonej Róży” wpłynęło 6 tysięcy zestawów, a w dwa lata później debiutowało książkami aż 50 autorów. Mnożyły się konkursy, grupy

z płomiennymi manifestami i skandale. Dewaluacji uległo nie tylko „słowo poetyckie”, ale i sam poeta. Kiedy w grudniu 1965 roku pierwszy numer „Poezji” przyniósł znakomity debiut Rafała Wojaczka, który jedni przyjęli jako prowokację obyczajową, inni jako deklarację estetyczną poprzedzającą Nową Falę, ferment stanął na Parnasie. Nie pomogła skarga Ewy Lipskiej w wierszu „My” i druga seria „Orientacji”. Debiut stał się zjawiskiem, które utożsamiano z wejściem nowego pokolenia, uspołecznianiem. „Chcemy być współcześni, a nie poetyccy” — dewaluuje samą siebie krakowska grupa „Teraz”.

Klimat formalizmu i opozycji wobec „wzorajszych” doprowadził nie tylko do schematyzacji w literaturze, ale również do schematyzacji w sposobie myślenia. „Oczywiście, że to co drukujemy nie jest poetyckie, bo poetyckie w naszym rozumieniu to bezsilne, epigońskie, nic nie znaczące” — można przeczytać w „Nowym Wyrazie” z kwietnia 1973 roku. I dalej: „nawet kateki, ale autentyczny opis przekładamy nad wycieńczoną metaforę czy poetycki obraz”. Rozpoczęła się więc moda na powielanie tych samych wzorów, dedykacje (celował w tym zwłaszcza Markiewicz, który przysłużył się już prawie wszystkim „wielkim”), cytaty (najczęściej z Norwida, Grochowiaka, Eliota i francuskich „wykleptych”), przywoływanie nazwisk i tragicznych postaci. Debiutant lat 60-tych przed napisaniem tekstu musiał zapatrzeć się w odpowiedni bagaż słów typu: „róża”, „kamień”, „ptak”, „ryba”, „poeta”, „przedmiot”, „klucz” i przedstawić publicznie kilka z góry wiadomych tez, bo „kiedy się pisze tylko wiersze, wypada się za burtę” — przypomniał Zenon Bordowicz. W ten to sposób związany na wieki z pokoleniem debiutant mógł... spuścić trochę swojej świeżej krwi (i świeżej spermy).

Mnożyły się więc teksty, które „wszędzie pójdą”, na każdy konkurs (dawniej celował w tym Leszek Szaruga dziś Stefan Pastuszewski z Bydgoszczy), które pasują do każdego manifestu, idealne do pokoleniowych omówień i polemik. Ponieważ przyszły te czasy, kiedy każdy mówił i myślał o tym samym, poeta stawał się krytykiem i odwrotnie. Co prawda niektórzy zrozumieli to zbyt jednoznacznie —

pisząc o sobie nawzajem, ale nie w tym przecież leży największe zło. Klimat „spokojnej burzy” i piorunów, co to gasną nim dotrą na ziemię, szybko zlagodniał w oczach wystraszonych aprezdnie i skolowanych debiutantów. Należało teraz spojrzeć sobie nie prosto w oczy — jak nawoływała Nowa Fala, ale prosto w mordę — jak ja nawołuję.

Mimo kilku wartościowych książek (Balcerzana, Baranczaka, Gąsiorowskiego, Jerzyny, Lipskiej, Machnickiego, Mocarskiego, Krynickiego, Zadury) w poezji wytworzyła się ogromna luka, której do dziś nie sposób wypełnić. Nieporozumieniem wydaje mi się często stawiane pytanie — kto jest odbiorcą i czytelnikiem poezji? I dalej — jaka jest obecnie funkcja młodej literatury i jaka jest jej ranga wobec tzw. prawdy społecznej, skoro nakłady książkowe mają wysokość 200—300 egzemplarzy, wychodzi rocznie 50 debiutów, z czego 4—5 zasługuje na uwagę? Poezja to sprawa osobista każdego z nas. Pisanie z myślą o konkretnym czytelniku to pisanie pozbawione tego, co jest najbardziej w nas poetyckie — spontanicznego smaku, uczucia, emocji. Pytanie o czytelnika bądź literacki funkcjonalizm to sprawa wiersza a nie poety, to pretensjonalizm, którego trzeba się pozbyć.

Poza drukami okazjonalnymi (kilka w roku) brak spojrzenia pobudzającego, rozbijającego, zmuszającego do „samookreślenia” bądź zaostreń kryteriów przy wydawaniu poezji. Nieobecność krytyki w kształtowaniu młodej literatury sprzyja temu, że coraz więcej wychodzi książek nijakich, słabych, a wreszcie złych. Cisną się wręcz na usta przykłady Henryka Wolniaka, z którego pięciu książek nawet jedną interesującą trudno byłoby skleić, Smigielskiego, Grochowiny, Majewskiego, Hajczuka. Nie tyle ilość wydanych pozycji, co ich jakość przekonuje o tym, że młoda literatura warta jest uwagi. Jednakże dopiero w Lublinie udało się ostatnio połączyć oba te wyróżniki. W „Przebudzeniu” i I serii Lubelskich Prezentacji Poetyckich znalazło się wiele propozycji nie tylko dojrzałych, ale również klarownych i czytelnich. Po latach posuchy do Lublina znów wróciły czasy, kiedy czytelnik szuka poezji, a nie odwrotnie. Czy jednak ożywienie tego regionu nie jest przykładem odosobnienia? Czy pójdą w ślad za nim inne ośrodki?

* Waldemar Żelazny urodził się w roku 1959. Mieszka w Zaklikowie. Rozpoczął studia polonistyczne na UMCS. Oczekuje na wydanie debiutanckiego tomu wierszy. Jego wypowiedzią otwieramy cykl „W oczach debiutanta”, w którym udostępniamy tamy „Zródel” autorom podejmującym pierwsze próby krytyczno-literackie.

Milczał, ale wiedzieliśmy, że był to głos rozsądku.
Dominik Opolski

Adam Kulik

SZKIC DO PORTRETU SOKRATESA

I

Oto twarz Sokratesa — widzę go codziennie,
siwe, potargane włosy, broda,
śmierdzący przechadza się po agorze.
Podchodzi do kosza z odpadkami,
siada ukradkiem na ławce obok,
wyciąga odważnie rękę, grzebie,
wyciąga kawałek bulki, je.
Tymczasem świat mijają powoli, niechliwnie:
odbywają się wizyty na najwyższym szczyblu,
dużo się mówi o niczym, ale głośno,
ludzie bawią się w teatr, igrzyska olimpijskie,
pisanie prac naukowych, obchodzenie świąt,
miłość, podróże, budowanie miast, przewroty wojskowe,
myśli o nieśmiertelności...
A przecież zamiast wznosić odwykówki przeciwcukrowe
wystarczy kuglarzom balansującym z maniakalnym uporem
na zielonej krawędzi (w jakim celu?)
odkroić codziennie kromkę chleba.

II

Widziałem go znowu,
ogolona do skóry głowa — nadane usłudze piętno
czyniła go bardziej podobnym do mumii egipskiej
albo czaszki Jorika-wielu.
Tańczył po barze mlecznym milcząc zawzięcie
z bulką w kieszeni (na wszelki wypadek).
Myślę, że jest odrobinę wybredny, i odrobinę wygodny,
i mimo wszystko — butny.
Zastanawiające: śmieje się czy bliżej mu do płaczu?

III

Kroczy wolno swobodnym, małym kroczkiem,
nie odbiega w tym od filozofii poobiednich przechadzek
mędrców z Grecji — idąc zapada w głębię.
Mija obojętnie sklepy z pieczywem,
zatrzymuje go witrzyna jubilera
długo degustuje lśniące cacka.
Musiał mieć żelazne argumenty — idąc.
Za kolumną renesansowej kamienicy
zbudowanej w 1596 przez Moranda oddaje moc.
Kobieta z koszem nie przechodzi, wstydzi się,
przysuśmiecchem szuka wsparcia u przechodniów.
Jej intuicyjne odruchy są dokładnie obojętne
analitycznemu umysłowi starca — ma swoją prawdę.

IV

Waparty o żerdź straganu markuje przekupnia.
Ale zdradza go kamienny spokój,
to duża wrażliwość i poczucie delikatności każą mu grać.
Nie chce żebyśmy się wstydzieli
za jego pozorny bezruch i bezpłodność poczyniań.

V

Wzburzony ociera dłoń o żywopłot
po czym szybko przebiega jezdnię.
Nie, nie! To nie skutki pijackiej burdy,
tak zachowuje się wielki pieśczocho ziemi
w akcie spełnienia.

DWUGŁOS: KRYTYK I AUTOR

Ukazywanie się nowej książki zazwyczaj jest skwitowane recenzją w czasopiśmie, co jest z natury rzeczą głosem jednej strony. Pragnąc udostępnić wypowiedź autorowi na temat książki, podejmujemy eksperyment dwugłosu między nim a recenzentem. Nie ukrywamy, że autor zna treść recenzji. W ten sposób ma możliwość wypowiedzieć się w kontekście czytelniczej i krytycznej recepcji swojego utworu, co niewątpliwie daje sposobność do nowych przemyśleń i konfrontacji.

Jak my się teraz w tej Polsce będziemy kochać...

Emil Biela

TRZEBA mieć dużą odwagę pisarską i potężny zasób wiedzy już dzisiaj historycznej, aby podejmować obecnie tak wielki temat, jakim jest druga wojna światowa na ziemiach polskich. Czasy gigantycznego powtórzenia Grunwaldu wymagają od pisarza penetrującego ten okres w naszych dziejach nie tylko talentu, ale niezwykle wyczerzonego sumienia obywatelskiego, poczucia sprawiedliwości omal dziejowej. Zbyt czasem łatwo przechodziło niektórym pisarzom poszufladkowanie pewnych spraw bardzo skomplikowanych. Zapominali przy tym, że na polskiej szachownicy dziejów panowały niezwykłe reguły gry, że często jedna osoba chciała być równocześnie królem i poddanym, żeby tylko wymieniać jedną skomplikowaną cechę jakże pasującą do niełatwych i skomplikowanych czasów...

Interesująca poetka, Matylda Welna, ołbrzymią powieścią (przeszło czterysta stron! druk!) śmiało wkroczyła w czasy, którym nie sposób dać jedno określenie. Utwór nosi wielomówiący, ale adekwatny tytuł: „Tryby”. Przypomina się tetralogia Kazimierza Truchanowskiego „Młyny boje”. Te groźne hasła wywoławcze usiłują sprostać niezwykłym czasom, być ich odbiciem, być zwierciadłem.

W owych tytułowych trybach czasu, w smiertelnym najczęściej ścieraniu się poglądów i postaw człowieczych z wolną dopiero krystalizowała się nowoczes-



na świadomość. Matylda Welna usiłuje w swej książce ów proces zanotować, ale równocześnie poddać gruntownej analizie, stąd wielowatkość tej powieści, stąd też mnogość bohaterów. Au-

torka koncentruje się głównie na ostatnich latach okupacji i dość szczegółowo doprowadza akcję do roku 1947. Lublin czyni sercem swego utworu. Miłość do tego miasta i jego ludzi jest bardzo widoczna.

Autorka z łecim epickim rozmachem prowadzi swoją powieść, dając jej miejscami charakter dokumentalny. W partiach retrospektywnych sięga daleko wstecz, niekiedy aż do wydarzeń z roku 1906. Imponuje świetną znajomością realiów. Ale w tej polifoniczności łatwo dostrzec pewne mielizny warsztatowe. Obok partii książki literacko bezbłędnych, są fragmenty przypominające wypisy z broszur politycznych. To tylko Zeromskiemu w „Przedwiośniu” udało się wyjść obronną ręką z takiego niebezpieczeństwa... A już zupełnie w „Trybach” nie udało się Matyldzie Welnie opisy erotycznych zbliżeń. Są ekliwne i mniszkowate (najgorszym przykładem ten ze str. 267). Razi też może miejscami mnogość słów patetycznych i obfitość poetyckich cytatów z klasycznej literatury. Ale zostawmy te kamyki...

Udało się pisarce stworzyć kilka bardzo przekonujących i sugestywnych postaci, które nawiązują autentycznie wyglądający kontakt z osobami znanymi z historii naszej państwowości. To jest bezsprzeczny walor „Trybów”. A poza tym? Szczególnie wyróżnia się postać Jana. Wraca z „hitlerowskich wcz-

sów” do Polski. Często powtarza sobie i najbliższym w największym przekonaniu: „Jak my się teraz w tej Polsce będziemy kochać, jak my się będziemy szanować...” Ale wiadomo, że realizowanie tego najsłuszniejszego pragnienia okazywało się jednak niełatwe, a zrazu nawet, w wielu wypadkach niemożliwe. I o tych trudnych sprawach pisze Matylda Welna. Mniej wyrobiony czytelnik może powie, że pisze w sposób trudny, że nie dba o chronologię czasu i miejsca akcji. Ale zarzut ten łatwo odeprzeć argumentem, że powieść napisana jest sercem i do ludzi z sercem skierowana, a przede wszystkim do mieszkańców lubelskiej ziemi, którzy na kartach „Trybów” odnajdą siebie i potwierdzą autentyczność następującego fragmentu dialogu wyjętego z zakończenia powieści:

— Chodź, Janie, chodź na spacer. Chodź, kochany, popatrzmy sobie na LSM, na Motor, na Kalinę...

— Jak Boga szczerze kocham, Loniu! Jak Boga szczerze kocham... — rozrzewnia się notoryczny pechowiec życiowy. — Du hast recht! — Po listach majstra Stielicha z Berlina z wolna mowa niemiecka przestaje mu być nienawistna jak dawniej. My ją jeszcze bardziej, tę Polskę... my ją jeszcze...

Matylda Welna: „Tryby”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1978, str. 608, cena 40 zł.

Kradłam wąsy i nosy

Matylda Welna

NA „Tryby” zanosilo się u mnie od dawna. Powstały one z osobistych zainteresowań tym, jak formowała się dwa razy w dziejach Polski władza w Lublinie i jakie były przyczyny konfliktów politycznych po wyzwoleniu. Przesiedziałam parę miesięcy nad starymi gazetami i nad książkami. Posiadałam też sporo własnych obserwacji i doświadczeń. A nade wszystko szczęśliwym trafem spotkałam szereg niezmiernie ciekawych osób, których przekaz ustny zafascynował mnie. Powieść ta zatem składa się z materiału dokumentalnego (prasa, publikacje książkowe, niedrukowane pamiętniki), autobiograficznego i fikcyjnego.

Nie powstydzę się moich bohaterów, są to bowiem prawdziwi bohaterowie dnia codziennego. Żałuję, że moje pióro niedostatecznie oddało ich wielki patriotyzm, ich poświęcenie i ofiarność, ich męstwo w trudzie i znoju walki o wolność i odbudowę kraju. Prototypy niektórych z tych bohaterów żyją.

Mam nadzieję, że dla czytelników lubelskich ciekawe są te różne gorące dni na dworcu kolejowym, w garbarniach, w fabrykach maszyn rolniczych, potracam także i o firmę Magierskiego, księgarnię św. Wojciecha i inne lubelskie instytucje. Kiedy opisywałam poszczególne postaci, brakowało mi różnych cech fizjonomicznych. Szłam wtedy na spacer po mieście i „kradłam” przechodniom miotłkowate wąsy, garbate nosy, wypulite murzyńskie usta, kędzierzawe czupryny i długie warkoczki, barczyste postawy, a nawet sposób chodzenia. W ten sposób jest to książka i etnicznie całkowicie lubelska. Jeżeli zaś chodzi o czytelników spoza Lublina, wierzę, że obrazy wojennego Berlina, losy berlińczyków z nosami na kwiocie, gdy szale wojny przechylały się ku klęsce Niemiec (rzadko to pokazywane w literaturze, a w niemieckiej prawie wcale), wyzwolenie Krakowa, ogrom nieszczęścia na gruzach Warszawy, mają walory pewnego novum.

Choć autor wielekroć razy czyta rękopis, dniuje z nimi i nocuje, naprawdę, wszystko wiadomo dopiero wtedy, kiedy książka jest wydrukowana. O, dobre czasy Balzaka, który pisał swe powieści na dobrą sprawę dopiero w czasie korekty! Dziś na nic takiego autor nie może sobie pozwolić ze względu na reżim oszczędnościowy. Poważne skróty, wniesione przeze mnie poprawki, a i to, że książka była dwa razy składana z powodu pewnych trudności poligrafii, odbiły się na jej kształcie zewnętrznym. Są w „Trybach” strony, które mogły być lepsze. Chodzi tu o postaci przeciwników ideowych, o ich cha-

rakterystykę psychologiczną i motywacje ideowe. Nie brakowało mi materiału, lecz miejsca, pewności pióra i — odwagi.

Leży mi na sercu, aby poznali się z „Trybami” szczególnie czytelnicy wiejscy. Jedną z najsmutniejszych książek dla mnie jest „Rozdziobią nas kruki, wrony...” Długie lata nie mogłam się pozbyć obrazu ubożego ciemnego chłopca, który obdziera splazowanego przez kozaków szlacheckiego bojowca, patriotę, zabitego Winrycha. Chciałam w „Trybach” dobitnie powiedzieć, że w czasie ostatniej wojny — po okresie dwudziestolecia, które scalilo rozbity

przez rozbiory kraj — wieś przeorana gruntownie przez organizacje lewicowe, wydała z siebie tysiące Winrychów, którzy poświęcili się dla polskiej sprawy. Wieś zadecydowała w dużej mierze o zwycięstwie politycznym i społecznym roku 1944 i nie darmo jeden z moich bohaterów, dowódca wiejski, nosi pseudonim „Czterdzieści cztery”, co jest faktem autentycznym, pominiętym przez historyków w opracowaniach o ruchu partyzanckim na Lubelszczyźnie.

Zalutwiając swoje codzienne drobne interesy, zwykli prości ludzie są w swej masie motoryczną siłą wielkiej maszyny. Jej tryby obracają się bezustannie. Jednych wynoszą, inni giną. Życie nie składa się z samych sukcesów, ale suma drobnych ludzkich pomysłów może być wielkim sukcesem społeczeństwa, którego kondycja moralna i materialna jest permanentnie in statu nascendi. Ktoś przegrzywa życie i popelnia samobójstwo, ktoś umiera rozbity psychicznie i moralnie, ktoś kończy na zwykłej emeryturze, ktoś latami gnieździ się w ciasnym i ciemnym mieszkaniu, ale ktoś inny potrafi się zrehabilitować odsiedziawszy wyrok sądowy, kończy studia z wynikiem celującym, ktoś inny z włościwką i bałaguty staje się znanym konstruktorem sławnych baltystafów. Tak dzieje się w „Trybach”. Wszystkim przyswieca jedna myśl: wśród tych codziennych zabiegów: ulepszyć, wzbogacić, upiększyć tę, którą kochamy najwięcej — własną ojczyznę. Cieszę się, że pan Emil Biela w swej recenzji podkreślił tę myśl przewodnią moich „Trybów”.

Czy obronię się przed postawionym przez niego zarzutem „mniszkowatości” scen erotycznych? Nie będę próbowała. Nie wszystkie sceny erotyczne są w życiu człowieka udane, coż więc opisywać! Ale — przy przeładowaniu „Trybów” problemami trudnymi i skomplikowanymi — czy szczypta owej „mniszkowatości”, jeżeli się już ona zakradła, nie uczyni ich dla szerszego odbiorcy — sadząc po sukcesach pani Heleny do dnia dzisiejszego — strawą lżejszą i po prostu poczytną niektórych wyklętych przez areopagi literackie książek.



Matylda Welna

Fot. Marek Welna

Ponad 700 tytułów rocznie

Największa lubelska uczelnia, UMCS, posiada własną drukarnię. Drukarnia rozpoczęła pracę jeszcze przed uroczystym otwarciem, które odbyło się 19 grudnia 1969 r. Przyszłoroczne dziesięciolecie zbieganie więc z 35-leciem PRL i 35-leciem istnienia UMCS.

Pierwsze poważniejsze prace książkowe wydrukowane przed dziewięć laty to Materiały z Międzynarodowej Sesji Instytutu Historii UMCS — „100 rocznica śmierci W. I. Lenina”, Almanach Klubów Literackich, biuletyny dla Stowarzyszenia Twórców Ludowych oraz Monografia miasteczka akademickiego dr Z. Kowalskiego wydana na 25-lecie UMCS.

W kilku małych pomieszczeniach wydaje się ponad 700 tytułów rocznie. W stosunku do roku 1974 nastąpił dwukrotny wzrost produkcji, z 500 do ok. 1000 arkuszy drukarskich, z których 400 stanowią publikacje książkowe.

Oficyna prowadzi produkcję dwukierunkową — dziełową i skryptową. Pracuje głównie dla wydawnictwa „Annales UMCS”, dla środowiska naukowego Lublina, dla Centrum Polonijnego i dla Towarzystwa Miłośników Książki. Dostaje często z usług drukarni korzystają: Akademia Medyczna i Akademia Rolnicza w Lublinie. Wydaje także materiały na sesje naukowe. Bardzo dobrze układa się współpraca z

Wydawnictwem Lubelskim, dla którego drukuje się Logopedię — jedyne wydawnictwo tego rodzaju w kraju, „Rocznik Lubelski” i „Rocznik ogniska nauczycielskiego”. Główną jednak pozycję w planach wydawniczych zajmują publikacje Centrum Polonijnego przy UMCS. Wykonuje się także podręczniki języka polskiego dla obcokrajowców na zamówienie firmy londyńskiej.

Ostatnio wydano Monografię Związku Polaków „ZGODA” w Niemczech, która osiągnęła nakład 10 tys., liczy 204 strony, z czego trzy czwarte stanowił materiał zdjęciowy. Ostatnie pozycje tej serii to „Polacy w Argentynie” E. Ciurusia, „Polacy na Węgrzech” dr M. Wleczki i znajdująca się w druku praca dr M. Zmigrodzkiego „Polacy w Belgii”. Wydajemy skrypty dla uczestników kursów polonijnych — folklorystycznych i językowych.

W grudniu ub. roku wyszło z oficyny 8 tomików I serii Lubelskich Prezentacji Poetyckich, opracowanych graficznie przez Edwarda Rakowskiego. W b.r. będą drukowane tomiki II serii.

Zeszyty „Kaplica zamkowa”, „25 lat Zespołu Tańca Ludowego UMCS” i „Lublin w kulturze polskiej” to również pozycje, którymi się może poszczycić Drukarnia Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Anna Borkowska

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

Od oficjalnego rozpoczęcia nowego sezonu koncertowego Filharmonii Lubelskiej dzieli nas już tylko dni. Tymczasem trwają koncerty Lubelskiego Września Muzycznego, imprezy, która zyskała sobie zasłużoną popularność w naszym mieście, będąc okazją do zaprezentowania w krótkim stosunkowo czasie wielu znanych zespołów i solistów w interesującym repertuarze. Wystarczy tu wspomnieć radzieckiego pianistę Jewgienija Malinina, laureata drugiej nagrody ostatniej edycji konkursu im. Henryka Wieniawskiego — Piotra Milewskiego, holenderski zespół dziecięcy pod dyrekcją Pierre'a van Hanwa, by

zorientować się w różnorodności propozycji tegorocznego Września.

Nową serię „Notatek” postanowiłem rozpocząć od krótkiego zrelacjonowania planów artystycznych filharmonii, w które wprowadził mnie jej dyrektor i kierownik artystyczny — Adam Natank.

Działalność filharmonii przebiegać będzie, zgodnie z tradycją w trzech zasadniczych kierunkach: od form symfonicznych i oratoryjno-kantatowych poprzez kameraliistykę (tu zwraca uwagę cykl „Mistrzowskie recitale”) do szkolnych audycji umuzykalniających. Sezon rozpoczęły już koncerty Lubelskiego Września Muzycznego; jego u-

NIEWIDZIALNA SIŁA

Dokończenie ze str. 1

Tradycyjne elektrownie nie podążają, sieci przesyłowe także nie. W tej sytuacji — mówi wiceminister Bartoszek — trzeba sięgnąć do optymalnych rozwiązań technologicznych, do sieci przesyłowych 750 i 1000 kV, do energii jądrowej. W roku 1985 w Zarnowcu ruszy pierwsza elektrownia jądrowa o mocy 880 megawatów (dwa bloki po 440 MW). Gdy prześledzimy uważnie etapy budownictwa energetycznego w kraju, stwierdzimy z satysfakcją, że nie mamy czego się wstydzić wobec bardziej rozwiniętych krajów Zachodu.

W roku 1952 bloki o mocy 50 MW były szczytem możliwości technicznych, dzisiaj sami produkujemy turbiny i kotły o mocy 200 MW, a w elektrowni O-pole zainstalowane będą pierwsze bloki o mocy 360 MW. Elektrownia Kozienice jest miejscem montażu turbiny 500 MW, a kocioł do niej robimy w kraju. Tradycyjny opał, jakim jest węgiel kamienny, przestaje wystarczać, sięgamy po węgiel brunatny. Turowszów, Konin, w niedalekiej przyszłości Bełchatów są miejscem sprawdzonych możliwości wykorzystania tego cennego surowca energetycznego. Po to — mówi wiceminister Bartoszek — aby węgiel mógł służyć celom dalszej przeróbki chemicznej, aby dawał paliwo, co pozwoli na ograniczenie cennego surowca, jakim jest ropa.

Jesteśmy świadkami rewolucji energetycznej na świecie. To nie truizm. Rozwinięte kraje Zachodu szukają nowych rozwiązań technologicznych dających taniej energię. My również nie narzekamy na nadmiar tejże. Każdego roku w bilansie energetycznym kraju brakuje 2 tysiące megawatów. Oddawane moce są wykorzystywane na bieżąco. To nie jest energia dająca się magazynować, trzeba ją produkować i wysyłać do odbiorców. Niebagatelną rolę

odgrywa system połączonych energii krajów RWPG. Bierzymy moc z Ukrainy, wysyłamy energię do Czechosłowacji i NRD. Ostatnio Austria zainteresowana jest zakupem naszej energii elektrycznej. Dodatni bilans energii to ogromne, trudne do przecenienia korzyści dewizowe. Tyle może o ogólnej sytuacji w kraju. Lubelszczyzna nie jest regionem produkującym energię elektryczną, ale tak będzie do czasu.

Za parę lat i u nas zacznie się budowę elektrowni pracującej na lubelskim węglu kamiennym. Jest lokalizacja, przybędzie nam zatem miejsce ciekawe, niebanalne, powstanie jeszcze jedna tradycja. Jak na razie lubelską energię zawodową reprezentują dwa Zakłady Energetyczne w Lublinie i Zamościu, te zajmują się obsługą odbiorców, konserwacją sieci i linii wysokich napięć, na naszym terenie zlokalizowany jest Zakład Remontowy Energetyki obsługujący całą wschodnią część kraju w zakresie remontów elektrowni (Kozienice, Stalowa Woia, Połaniec). Istnieje także Elbud — przedsiębiorstwo budowy sieci, wykonujące cały zakres inwestycji trakcyjnej. Ta ponad czterotysięczna rzesza pracowników energetyki obchodzi tak jak ich koledzy w kraju swoje święto. I choć o nich na razie cicho, przecież mają swój udział w zapewnieniu nam, odbiorcom energii elektrycznej, spokoju. W 1974 roku jesienią pamiętna burza na Podlasiu była sprawdzianem pracowitości i rzetelności lubelskich energetyków. Pozrywane sieci napięć, wywrócone słupy zmobilizowały ludzi, którzy wtedy się sprawdzili. Dyrektor Zakładu Energetycznego w Lublinie, inż. Aleksander Telecki, mówi, że do dziś mu się śni tamten koszmar. To była prawdziwa kłeska żywiołowa. To nic, wydaje się na co dzień, że wszystko jest spokojne i normalne, ale nas, energetyków, właśnie takie sytuacje sprawdzają — dodaje.

Lubelski Zakład Energetyczny obsługuje 380 tysięcy odbiorców. To dużo.

Wiadomo, że sieć energetyczna wymaga konserwacji i napraw, niezbędne są planowe wyłączenia prądu, to powoduje straty w gospodarce.

— Chcemy — mówi dyr. Telecki — stworzyć dodatkowe łącza zapewniające dopływ prądu na czas konserwacji sieci normalnej. Wieś się elektryfikuje. Nie chodzi już o to, że w domach jest światło, ale elektryfikuje się gospodarstwo rolne, elektryczne dojarki, maszyny, silniki są wcale nieskromnymi — jeśli idzie o pobór mocy — użytkownikami energii. I dobrze, świadczy to o tym, że wieś się cywilizuje, że równa do miasta. Ale pamiętać trzeba także o tym, że nie umiemy energii oszczędzać, marnotrawimy ją, bo przecież czego jak czego, ale prądu według naszego wyobrażenia, nam nie brakuje.

Gdy mówimy o regionie, nie sposób pominąć Zamościa, gdzie tamtejszy Zakład Energetyczny w przyszłym roku obchodzić będzie 60-lecie istnienia. Jako anegdotę wspominają zamojscy energetycy lata powojenne, kiedy z rozdzielnika Zjednoczenia Energetyki przyznano Zamościowi 37 żarówek. Żelazo na słupy kupowano po cenach komercyjnych, inkasenci „modlili się” o rowery, bo teren trzeba było pokonywać na plechotę.

Nadchodzący Dzień Energetyka święcić będą lubelscy pracownicy resortu w obliczu wzrastających zadań eksploatacyjnych i montażowych. Buduje się już na Lubelszczyźnie linie najwyższych napięć (400 kV), zaprzęga się najnowocześniejszy sprzęt montażowy, słupy trakcyjne ustawiane są przez helikoptery. Stwierdzić trzeba bez przesady, że wszyscy pracujący w resorcie od wiceministra Bartoszka poczynając a na szarych pracownikach kończąc, są ludźmi oddanymi bez reszty zawodowi. Fascynujące technologie, nowoczesne maszyny, budowy, które śnią się po nocach, to wszystko powoduje, że z energetyki, kto raz jej zakosztował, łatwo nie odejść. Min. Bartoszek powiedział, że sam chętnie poszedłby do

Bełchatowa. Tak jak nigdzie indziej nie występuje problem fluktuacji kadry, ludzie przywiązani są do pracy i do swoich zakładów.

Na koniec zajrzyjmy za kuliszy najbardziej frapującego miejsca na mapie energetyki polskiej. Przy ulicy Mysiej w Warszawie na ostatnim piętrze wysokiego budynku mieści się Państwowa Dyspozycja Mocy. W przestronnym pokoju przy pulpitych sterowniczych siedzą inżynierowie Zygmunt Woźniak i Zbigniew Murawski, którzy tego popołudnia kierują zmianą trwającą dwanaście godzin. Na ścianie ogromna świetlna mapa będąca ilustracją stanu posiadania energetyki. Dziesiątki kolorowych lampek błyska, obok pulpity dwa monitory telewizyjne stanowiące końcówkę komputera. W każdej chwili możemy się z tych monitorów dowiedzieć jaką mocą dysponuje każda z polskich elektrowni, gdzie występują zakłócenia, gdzie i jakie bloki przechodzą planowy remont, wreszcie w przypadku awarii PDM jest pierwszym miejscem, gdzie ta awaria się odbija. Zegary elektroniczne informują jaką mocą dysponujemy, ile pobieramy z ZSRR, ile wysyłamy do NRD i CSRS, widać na mapie odgałęzienia do Austrii i Jugosławii.

Państwowa Dyspozycja Mocy jest najczulszym pulsem życia naszego kraju. Każdy ciekawszy program telewizyjny, soboty i niedziele wieczorem, odczytać można ze wzrastającego zapotrzebowania na energię elektryczną. Korzystając z telefonu przy pulpicie łączę się z Kozienicami, gdzie dyżur pełni Janusz Klimecki, operator bloku, poeta w cywilu, czujnie wpatrzony w zegar wskazujący moc oddawaną z generatora. I właściwie na tym chciałbym skończyć, bo to Janusz Klimecki powinien być dla mnie bohaterem tego artykułu, energetyk piszący wiersze, stojący przy pulpicie bloku o mocy 200 megawatów w elektrowni Kozienice. Ale, że inni pewnie by się obrazili, więc niech zostanie jak jest.

Aleksander Rozenfeld

koronowaniem, a zarazem oficjalną inauguracyjną działalnością filharmoników ma być Stworzenie świata Józefa Haydna (Danuta Damińska, Alicja Marczak-Faberowa, Bolesław Hamaluk, Kazimierz Przyłubski, Chór UMCS, orkiestra PFL, dyryguje Adam Natanek). Wykonania form oratoryjno-kantatowych cieszą się wyjątkowym zainteresowaniem słuchaczy i w związku z tym, a także z uwagi na specyficzne walory akustyczne i poniekąd „scenograficzne”, w nadchodzącym sezonie będą one prezentowane w kościele św. Pawła. Oprócz dzieła Haydna lubelscy melomani wysłuchają jeszcze czterech koncertów tego rodzaju. W ich programie znajdują się: *Gloria* Antonio Vivaldiego, *Missa brevis B-dur K.V. 275* oraz *Wielka msza c-moll K.V. 427* Mozarta i *Stabat Mater* Gioacchino Rossiniego. Stało się to możliwe dzięki inspirującej roli filharmonii, która jednocześnie sprawuje artystyczną opiekę nad amatorskimi chórami działającymi w naszym mieście (Chór Towarzystwa Spiewaczego „Echo”, Chór Akademicki UMCS, Chór PSSM, Chór Akademii Medycznej). Najbardziej zasłużony z nich — „Echo” — obchodzić będzie 50-lecie swego istnienia i z tej okazji odbędą się uroczyste koncerty: a capella oraz „Chór na scenie operowej” (Verdi, Moniuszko, Gounod, Wagner). W zakresie symfoniki planuje się wykonanie cyklu wszystkich symfonii Schuberta (150 rocznica śmierci kompozytora) oraz — między innymi — takich *chefs d'oeuvre*, jak koncerty skrzypcowe Beethovena i Czajkowskiego (Barbara Górzynska, na

inaugurację III Festiwalu Młodych Skrzypków), Brahmsa (Teresa Głębowna), *Symphonie espagnole d-moll op. 21* Edouarda Lalo (Krzysztof Jakowicz), *Koncert podwójny a-moll op. 102* na skrzypce i wiolonczelę Brahmsa (Wanda Wilkomirska i Andrzej Orkisz); miłośnicy wiolonczelki powinni być usatysfakcjonowani. Ci, którzy wyżej stawiają fortepian, usłyszą *I Koncert b-moll op. 23* Czajkowskiego (Elżbieta Karaś-Kraszel), *koncert Es-dur Liszta i koncert D-dur K.V. 451* Mozarta (Tadeusz Kerner), Miłosza Magina we własnym *III Koncercie*. Wystąpią również Piotr Paleczny, Regina Smendzianka, Rudolf Kerer, Fou Tsong (III nagroda na konkursie chopinowskim w 1954) — po części w serial „Mistrzowskie recitale”. Z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki zapowiadany jest recital Bogny Sokorskiej, zaś rocznicę Rewolucji Październikowej uświetni radziecka wiolonczelista Karina Georgian (I nagroda na konkursie im. Piotra Czajkowskiego w 1976).

Będziemy mieli także okazję wysłuchać laureatki III nagrody ostatniego konkursu im. Czajkowskiego — Ewy Podleś (mezzosopran). Z dzieł orkiestrowych wystarczy wymienić kompozycje Mozarta, Haydna, Brahmsa, Dvorzaka i wspomniany cykl schubertowski. Godna pochwały jest inicjatywa prezentowania muzyki polskiej — utworów Feliksa Janiewicza, Franciszka Lesla, Mieczysława Karłowicza, Witolda Rudzińskiego, Grażyny Bacewicz (koncert na altówkę w wykonaniu Stefana Kamasy), Tadeusza Bairda i Miłosza Magina.



Adam Natanek

Przewiduje się również prawykonanie *Ad viventes i Piomienia serca* utalentowanego kompozytora lubelskiego Mieczysława Mazurka, mającego w swym dorobku znaczące nagrody konkursów polskich i międzynarodowych.

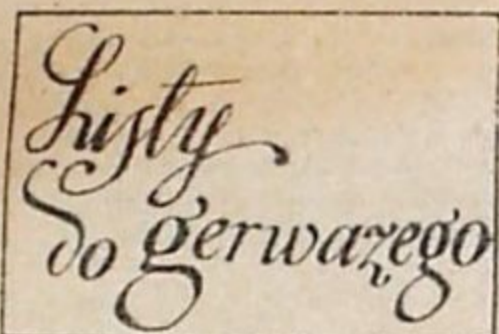
Oprócz lubelskich filharmoników wystąpią na naszej estradzie m.in. orkiestra filharmonii z Płowdwy, litewscy kamerallści Sondeckisa, lipka Bach-Orchester i słynny Thomanerchor. Większością koncertów dyrygować będą Adam Natanek i Ryszard Komorowski, gościnnie zaś zespół PFL, poprowadzą Gabor Kiss (Rumunia), Ali Rambari (Iran), Olaf Koch, K. Nosek i H. J. Nellessen z NRD, J. G. Mc Goven (USA). W czerwcu — tradycyjnie już — na estradzie filharmonii pojawią się dyplomanci PWSM w Warszawie oraz absolwenci szkół muzycznych Lublina, którym towarzyszyć będzie orkiestra PFL.

W maju oczywiście ósme z kolei Najlepszemu Divertimento, tworzącym wraz z Lubelskim Wrześniem Muzycznym rodzaj kompozycyjnej klamry efektywnej spinającej cały sezon.

Na zakończenie powyższego — pobieżnego z konieczności — przeglądu słów o działalności popularyzatorsko-umykalniającej. Jak co roku, filharmonia zamierza zorganizować koncerty dla zakładów pracy oraz prowadzić kameralne audycje umykalniające dla szkół makroregionu lubelskiego, zamyszkające się imponującą liczbą 710 w ramach 10 tematów muzycznych.

Wypada więc — w przededniu nowego sezonu — życzyć filharmonikom i ich szefowi pomyślnej realizacji ambitnych zamierzeń i satysfakcji z artystycznych dokonań, a melomanom wielu niezapomnianych wrażeń i radości płynących z obcowania z dobrą muzyką.

● Omski wyciągnął rewolwer ● Komedia nie ma trupa ● Z przepisu taniej garkuchni ● Jeśli należycie zmiętoszone łóżko ●



LITERATURĘ pociąga trup. Rzadko znaleźć powieść, w której wszystkie postacie zachowują zdrowie i życie. Chytry to wybieg autora. Bo cóż? Penetracja po obszarach psychologii? wierny obraz życia? zalety stylu i kompozycji? — to wszystko może się okazać wątpliwe, zdane na łaskę i niełaskę czytelniczego gustu. Trup jest niepodważalny. Po wątpliwym, czytelniku, kręć się nosem? A masz. Oto determinant ludzkiego losu, który nie spłynie po tobie jak woda po kaczce, bo sam mu podlegasz.

Nawet w tak krótkiej i psychologicznej powieści, jak „Romans Teresy Hennert” trup ściele się jeśli nie gęsto, to nie rzadko. Mamy tam dwa i pół nieboszczyka. Ciocia Lipska zmarła na raka, Teresa Hennert została zastrzelona przez Omskiego. Lin był jedną nogą na tamtym świecie strzeliwszy sobie w lewą stronę klatki piersiowej (nie wiadomo dlaczego, bo jeśli z miłości, to bezproblemowa Wanda nadawała się raczej do gry w serso niż do dramatu) i ta pestka, to październik, ta biała plama nie wypełniona żadną treścią w stopniu pułkownika — Omski! To mogło zapalać miłość? A jeżeli, to z tej miłości zabił tylko swoją kochankę nie tykając siebie? I to kiedy? Kiedy osiągnął wszystko co chciał, a nie wykluczone, że mógł osiągnąć więcej, bo Hennert Hennertowej nie kochał. Ale pożądaną był jakiś huk w polnie. Więc Omski wyciągnął rewolwer.

(Nawiasem dodam, że nie wiem dlaczego do tytułu zostało wyniesione nazwisko Hennertowej. Więcej tam Gondzilla, a co najmniej tyle Laterny. Ten „Romans” w dodatku wcale nie jest studium miłości, ale obrazkiem z życia sensacyjnej oli-

garchii w pierwszych latach drugiej niepodległości).

Więc ten trup to ułatwienie. Autorze, napisz nikogo nie zabijając, ale tak, żeby cały ciężar ludzkiego losu został ukazany. Bo dajmy na to, że nikt nikogo nie zastrzeżił. Czy wtedy odpada myśl o śmierci, o tragicznym ludzkim istnieniu, o przeciwnym brzemieniu życia zbyt ciężkim na życie jedno? Złożyć na kartę powieści martwe ciało to zwykła ilustracyjność. To tyle, co napuścić mroków, cieni, kurzów wtedy, kiedy się chce wywołać nastrojów metafizyki. Zabieg inscenizacyjny. Jakże rzadko czytamy rzecz o tragicznej egzystencji ludzkiej bez tego sztucznego forte, które wynika z mechanicznego naciśnięcia pedału.

Dlatego jestem gorącym zwolennikiem komedii. Z utęsknieniem zawsze czekam na sezon ogórkowy w teatrze, kiedy luki w programie „ambitnym”, niefunkcyjnym wobec spadku frekwencji, „łata się” komedią bulwarową o „niepretensjonalnej wymowie” i „zmniejszonym ładunku intelektualnym”. Czekam nie po to, żeby się trzymać za brzuch ze śmiechu, który podobno dodatnio wpływa na proces trawienny i zwiększa rekreacyjną wartość snu. Czekam po to, żeby w tej „zastępczej” działalności artystycznej doznać ścisłego zespolenia się środków z zamiarem i efektem. Komedia nie ma swojego „trupa”, którym zaszczermuje nie będąc pewną własnej wystarczalności. Albo jest, to znaczy jest dowcipna, albo nie jest dowcipna, to znaczy nie ma jej wcale. I żadne to z mojej strony pomniejszenie tematu. Sztuka w ogóle, twórczość artystyczna wywołuje we mnie „poczucie metafizyczne” wyrwaniem cząstki rzeczywistości z pasma codziennej szarzyzny i wyniesieniem jej ku fosforyzującemu światłu rzeczywistości wyższej. A da się to osiągnąć zarówno grą na serio, jak również grą pół-zartem, która jakże często jest jeszcze poważniejsza.

Ale spytasz, co to ma wspólnego z powieścią współczesną. W tym sęk, że właśnie nic. Powieść współczesna odchodzi od zasadniczych spraw człowieka, jakby w sześćdziesiątych, siedemdziesiątych latach dwudziestego wieku nastąpił ten cud, że człowiek nie dostaje białaczki, nie dręczy go myśl o niespełnieniu, że nie gubi się w labiryncie py-

tań rodzących nowe pytania. Zresztą może się i nie gubi. Może wystareza mu oczekiwanie na przeskok z mieszkania lokatorskiego na własnościowe. I nawet byłbym gotów złożyć mu gratulacje, gdyby to było rezultatem świadomego wyboru, a nie wyrazem owczego pędu.

Tu można by spytać: właśnie, jaka ma być ta literatura, skoro takie jest życie. Tylko że tym pytaniem literatura sama się degraduje. Jeśli rezygnuje z dokuczania stawianiem przed oczy wzorów postępowania i reagowania na świat, czyni się niepotrzebną. I nie winię tu obojętniejszego czytelnika, konkurencji ze strony massmediów, trudności papierowych. Nie szukać usprawiedliwiających formuł ekologicznych, socjo- i futurologicznych. Tak, świat jest łamany komputerami, radarami, laserami, katastrofami tan-kowców, które rozlewając ropę natową wynaturzają morze, samochodami, których nie ma gdzie zaparkować. Na człowieka jest coraz mniej miejsca. I będzie mniej, jeśli nie podniesie głosu w swojej obronie, co jest obowiązkiem wszelkiej twórczości, nie tylko literackiej. Ryby głosu nie mają, dlatego ich nie ma. Tylko w wodach śródlądowych? Pytanie, kiedy ich nie będzie w morzach.

Nieprawda, że literatura kiedykolwiek sprawowała rząd dusz. Rząd dusz sprawowało 150 lat niewoli, a ponieważ nie mógł się on wyrazić za pośrednictwem wieców, defilad, pieśni patriotycznych, więc z konieczności posłużył się piórem poety na obczyźnie tęskniącego do „Litwy, ojczyzny mojej”. Tu nie ma za czym rozpaczać. Nic nie zostało utracone. Netomiast jest tracone, kiedy pole oddziaływania na psychikę i intelekt zajmuje sukces wydawniczy, honorarium za ekranizację i adaptację sceniczną, hossa na literackiej giełdzie. Literaci piszą tak, żeby byli czytani. I dopięli swego. Tak obniżyli czytelnice wymagania, że czytani są rzeczywiście. Zaden to argument — statystyki księgarski i bibliotek. Bo nie wiadomo, co by powiedziały statystyki, gdyby pojawił się inny typ literatury. Nie można czytać tego, czego nie ma.

Przecież nie oczekuję, że autor błysnie nade mną światłem rozpraszającym mrok zwątpienia i niewiedzy per multos annos. Ale jeśli

bez osłonek, z bezczelnie chichotliwą gębą serwuje mi najrudymentalniejsze obscurum życia, przez co otrzymuje wyróżnienie za najciekawszy debiut roku i oryginalnie zapowiadający się talent, mam dość zabawy. Jak kiedyś na awangardowe wiersze kręciło się nosem, jeśli były jeszcze za mało niejasne, tak teraz współczesna powieść młodego człowieka pilnie przestrzega, żeby nie było w niej za mało łóżka. I wystarczy. Jeśli należycie zmiętoszone łóżko jest, daruje się niedostatki artystyczne, bo te są przecież kompensowane „śmiałością spojrzenia” i „bezkompromisowym obnażaniem prawdy”. Tymczasem obnażona zostaje nie prawda, ale coś bardziej konkretnego.

Literatura, piśmiennictwo artystyczne, słowo drukowane — państwo nieustannie ścieśnianie przez inwazję molochów cywilizacji technicznej. Tak, bo literatura zawsze była rzykiem wychylenia się w przód celem zaprowadzenia praw człowieka na obszarach człowiekowi odejmowanych. Nawet jeśli zgoda, że dzisiaj tej funkcji kontynuować nie może, gubi ją tej niemożności aprobaty. Czy nie pozbawia się w ten sposób oręża jeszcze nie obywatelnego, którym jest choćby ironia, drwina, sarkazm? Pokonana w walce z techniką nie podejmuje ruchu oporu? Emigracja, emigracja ze świata skażonego! Ta emigracja równa się obecność. W możliwości działania przeciw.

Więc niech się autorowi nie zdaje. Jestem jako czytelnik starym wróblem. Wiem, palcem mogę pokazać, gdzie nawet widząc potrzebę zajęcia zdecydowanego stanowiska zrobił unik na rzecz popularności książki. Popularności nie zawsze w sferach czytelniczych. Często w tej osobliwej, ale skonsolidowanej socjocie, na którą składają się wydawcy, redaktorzy, krytycy, recenzenci i ich sputniki.

Zresztą nie tylko. Czasem sam autor jest tak rozmakowany w „zawieszoność” swojej prozy, że dla jej zademonstrowania nie waha się sięgnąć po ingredience z przepisu taniej garkuchni. Przykłady są.

Protazy

NOS

Władysław Katarzyński

FRASZKI

RESTAURACJA

Nie rdzewieje stara miłość
Portret ślubny się czyściło!

PROBLEM

Draży nas problem nie nowy
Związany ze szkołą, z pracą:
Czy iść po rozum do głowy,
Czy czekać, aż go podadzą?

TEORIA NAUKOWA

Ziemia się obraca
Więc jak tu nie mieć kaca?

PROSTE

Nie od razu zbudowano Kraków.
Nie mieli prefabrykatów!

MAŁA MODERNIZACJA

Szyfrie, kamień
Na auto zamień!

Kazimierz Chyla

PEWNEJ STUDENTCE

Wpisano jej do indeksu,
jedyną plątkę — z seksu.

PRYMAT

Ten, kto nagrzeszył dowoli,
pierwszy w kolejce do aureoli.

POLE WIDZENIA

Dalej swego nosa nie widzi o wół,
lecz i daleko, bo ma długi nos.

MIEJSCE NA ZIEMI

Skurczyłby się ziemski padół,
gdyby każdy z nas się nadał.



Fot. W. Stępień

AFORYZMY

Jeśli ktoś jest słodki jak miód,
sprawdź z jakiego wyleciał uł.

Mówimy stale o tym, co nale-
ży robić, a robimy to, o czym
nie wypada mówić.

Złe zapowiada się ten, kto za-
powiada się sam.

W szkole życia nikomu nie
wolno studiować zaocznie.

Kto błędzi nie grzeszy bez-
czynnością.

Dzięki drogim wpływom zys-
kujemy tanich przyjaciół.

Jeśli ząb za ząb, to wybieraj-
my sztuczne.

Liczni otwierają usta tylko po
to, by móc pokazać złote zęby.

RZEPKA



Rys. J. Lipiec



W. Fuglewicz